

LUCINDA RILEY
HARRY WHITTAKER

ATLAS

HISTORIA PA SALTA



— SIEDEM  SIÓSTR —

ALBATROS

Tytuł oryginału:
ATLAS. THE STORY OF PA SALT

Copyright © Lucinda Riley 2023
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2023

Polish translation copyright © Anna Esden-Tempska 2023

Redakcja: Katarzyna Kumaszevska

Projekt graficzny okładki zagranicznej: Rocío Isabel González
© Giunti Editore S.p.A., Firenze-Milano
www.giunti.it

Projekt graficzny okładki polskiej: Kasia Meszka

Opracowanie graficzne okładki: Plus 2 Witold Kuśmierczyk

Zdjęcia na okładce: Eternal Aviv/Adobe Stock (*góry i niebo*);
psychoshadow/Adobe Stock (*jezioro*)

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



Prolog

Tobolsk, Syberia

1925

Zimny wiatr miotał im śniegiem w twarze. Dwaj chłopcy podciągnęli wyżej kołnierze z wyleniałego futra, by osłonić się przed zamiecią.

– Chodź! – zawołał starszy. Niedawno skończył jedenaście lat, ale jego głos już brzmiał szorstko, chrypliwie. – Wystarczy. Wracajmy.

Młodszy, zaledwie siedmioletni, podniósł stertę uzbieranego chrustu i pobiegł za oddalającym się już zdecydowanym krokiem starszym chłopcem.

Kiedy byli w połowie drogi, dotarło do nich słabiutkie popiskiwanie od strony drzew. Starszy przystanął.

– Słyszałeś to? – zapytał.

– Tak – odparł młodszy. Ręce bolały go od dźwigania ciężkiego drewna i choć stali zaledwie chwilę, zaczął dygotać z zimna. – Możemy już iść do domu? Jestem zmęczony.

– Nie jęcz. Sprawdzę, co to. – Większy chłopiec podszedł do najbliższej brzozy i przyklęknął.

Mniejszy niechętnie ruszył za nim. Przed nimi, miotając się rozpaczliwie na twardej ziemi, leżała malutka jaskółka, nie większa od rublowej monety.

– Wypadła z gniazda. – Starszy chłopiec westchnął. – Albo może... Posłuchaj.

Przez chwilę stali nieruchomo na śniegu. W końcu dobiegł ich jakiś pisk z góry.

– Aha! To kukułka.

– Ten ptak z zegara?

– Tak. Ale to wcale nie są przyjazne stworzenia. Kukułka składa jaja w gniazdach innych ptaków. Kiedy pisklę się wykluwa, wypycha inne młode. – Starszy chłopiec prychnął z pogardą. – I właśnie to się tu stało.

– O nie... – Ten młodszy nachylił się i pogładził małym palcem łebek pisklęcia. – W porządku, przyjacielu, jesteśmy z tobą. – Spojrzał na towarzysza. – Może jeśli byśmy wdrapali się na drzewo, udałoby się włożyć go tam z powrotem? – Starał się wypatrzyć, gdzie jest gniazdo. – Musi być bardzo wysoko.

Nagle usłyszał paskudne chrupnięcie. Spojrzał w dół i zobaczył, że jego towarzysz zmiażdżył pisklaka butem.

– Coś ty zrobił?! – krzyknął przerażony.

– Matka już by go nie przyjęła. Lepiej było zabić go od razu.

– Przecież... nie wiesz tego na pewno. – Brązowe oczy zapiekły młodszego chłopca od łez. – Mogliśmy spróbować.

Starszy lekceważąco machnął ręką.

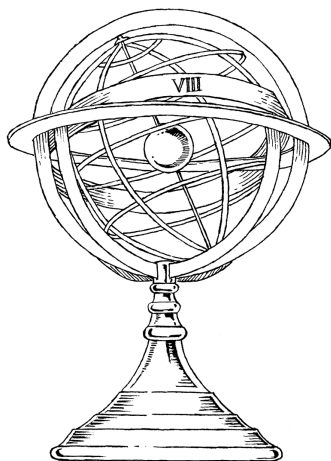
– Nie ma sensu próbować, jak coś jest skazane na porażkę. To zwykła strata czasu. – Ruszył w dół zbocza. – Chodź. Wracamy.

Młodszy nachylił się i popatrzył na martwe pisklę.

– Przepraszam za brata – powiedział, szlochając. – On cierpi. Nie chciał tego zrobić.

Pamiętnik Atlasa

1928–1929



1

Boulogne-Billancourt *Paryż, Francja*

Ten zeszyt to prezent od państwa Landowskich. Powiedzieli, że skoro nie mówię, a wiedzą, że umiem pisać, to byłoby dobrze, gdybym próbował notować swoje myśli. Z początku uważali, że po prostu jestem głupi, że pomieszało mi się w głowie, co zresztą w dużym stopniu jest prawdą. Ale może zwyczajnie tracili już do mnie cierpliwość. Są bardzo zmęczeni. Podobnie jak ja.

Musieli się zorientować, że zostały mi resztki rozumu, bo poprosili, żebym coś napisał, na początek imię, wiek i skąd pochodzę. Dawno jednak przekonałem się, że pisanie takich rzeczy może ściągnąć na człowieka kłopoty, a więcej kłopotów naprawdę już nie potrzebowałem. Usiadłem więc przy stole w kuchni i napisałem kawałek wiersza, którego nauczył mnie tata. Oczywiście był to jeden z tych wierszy, który nie zdradzał, skąd przybyłem, zanim wylądowałem pod żywopłotem ich ogrodu. Nie był też moim ulubionym, ale czułem, że jego słowa oddają mój nastrój i wystarczą, by pokazać tym dobrym ludziom – których los postawił na mojej drodze, kiedy upominała się o mnie śmierć – że potrafię się porozumiewać.

Napisałem:

*Dziś wieczorem patrzyłem,
jak księżyc się zniża,
a zaraz za nim
podążają plejady.*

*Noc niemal już
minęła, młodość
też mija.
Jestem w łóżku sam.*

Pisałem po francusku, angielsku i niemiecku, a żaden z tych języków nie był tym, którym mówiłem, kiedy tylko nauczyłem się artykułować słowa (nadal to potrafię, ale podobnie jak słowa napisane, słowa wypowiedziane, zwłaszcza w pośpiechu, mogą być wykorzystane przeciwko nam). Przyznam, że bawiło mnie zaskoczenie w twarzy madame Landowskiej, kiedy czytała, co napisałem, nawet jeśli nie mogło to jej pomóc odkryć, kim jestem ani skąd pochodzę. W oczach Elsy, służącej, kiedy postawiła przede mną z impetem miskę z jedzeniem, widziałem, że najchętniej odesłałaby mnie natychmiast tam, skąd przyszedłem.

Powstrzymywanie się od mówienia to nic strasznego. Już ponad rok temu opuściłem miejsce, które odkąd pamiętam, było dla mnie domem. W tym czasie używałem głosu jedynie wtedy, kiedy było to absolutnie konieczne.

Siedząc tu i pisząc, mogę wyglądać przez małe okienko na poddaszu. Wcześniej obserwowałem, jak ścieżką idą dzieci Landowskich. Były w szkole i wyglądały bardzo elegancko w mundurkach – Françoise w białych rękawiczkach i słomkowym kapeluszu, który nazywają tu kanotierem, a jej bracia w białych koszulach i marynarkach. Choć często słyszę, jak monsieur Landowski narzeka na brak pieniędzy, ten duży dom, śliczny ogród i piękne stroje jego żony i córek wskazują na to, że musi być naprawdę bardzo bogaty.

Nadal gryzę ołówek. Tata próbował oduczyć mnie tego, smarując jego końcówkę różnymi paskudztwami. Kiedyś powiedział mi, że smak tego, czego użył akurat tego dnia, jest nawet dość przyjemny, ale to trucizna i jak tylko przyłożę ołówek nawet w pobliżu ust, umrę. Mimo to, gdy zastanawiałem się nad zadaniem przez niego tłumaczeniem, bezwiednie wsunąłem końcówkę między zęby. Usłyszałem krzyk, bo ojciec to zobaczył. Wywłókł mnie za kark na zewnątrz, napakował mi do ust śniegu, a potem kazał mi go wypływać. Nie umarłem, ale od tamtej pory zastanawiam się, czy to był tylko brutalny sposób taty na wywołanie we mnie szoku, żebym wreszcie się odzwyczaił, czy to śnieg i plucie mnie ocaliły.

Choć robię, co w mojej mocy, żeby przypomnieć sobie tatę, jego obraz mi się rozmywa – tyle lat go nie widziałem.

Może to i lepiej. Tak, pod każdym względem lepiej zapomnieć wszystko, co było. Bo gdyby mnie torturowali, nie będę miał nic do powiedzenia. A jeśli monsieur i madame Landowski myślą, że napiszę różne rzeczy w zeszytcie, który tak uprzejmie mi podarowali, że zaufam małemu zameczkowi z kluczykiem, który mogę trzymać w swoim skórzanym woreczku, to bardzo się mylą.

– Pamiętnik to miejsce, gdzie możesz spisywać wszystko, co czujesz albo myślisz – tłumaczyła mi łagodnie madame Landowska. – To coś bardzo osobistego, przeznaczonego tylko dla twoich oczu. Obiecuję, że nigdy nie będziemy tam zaglądać.

Pokiwałem głową, a potem uśmiechnąłem się z wdzięcznością i pobiegłem na górę do mojego pokoju na poddaszu. Nie wierzę jej. Wiem z doświadczenia, jak łatwo i zamki, i obietnice mogą zostać złamane.

„Przysięgam na pamięć twojej ukochanej matki, że po ciebie wrócę...” „Módl się i czekaj na mnie...”

Potrząsam głową, próbując odegnąć z myśli te ostatnie słowa, jakie wypowiedział do mnie tata. Ale choć inne rzeczy, które chciałbym sobie przypomnieć, rozwiewają się w powietrzu jak puszek dmuchawca i nie potrafię ich zatrzymać, to zdanie – żebym nie wiem jak się starał – powraca.

Zeszyt jest jednak oprawiony w skórę i ma mnóstwo kartek z cieniutkiego papieru. Musiał kosztować Landowskich przynajmniej franka (tak nazywają tu pieniądze) i świadczy o tym, że bardzo chcieli mi pomóc, więc powinienem go używać. Poza tym, choć nauczyłem się nie mówić, podczas długiej podróży często zastanawiałem się, czy mógłbym zapomnieć, jak się pisze. Nie miałem ani papieru, ani ołówka. Jednym ze sposobów na przetrwanie lodowatych zimowych nocy było więc recytowanie w myśli fragmentów poezji, a potem pisanie liter „oczami wyobraźni”.

Bardzo lubię to określenie – tata nazywał to oknem do świata fantazji i kiedy nie odtwarzałem w głowie wierszy, często zanurzałem się w tej przepastnej przestrzeni, gdzie jak mawiał tata, nie ma żadnych granic. Była to kraina tak wielka, jak się chciało. Ludzie o wąskich horyzontach, dodawał, mają z definicji ograniczoną wyobraźnię.

I choć Landowscy okazali się moimi ludzkimi zbawicielami,

opiekowali się moją fizyczną powłoką, nadal miałem potrzebę zniknąć wewnątrz siebie, zaciskać powieki i myśleć o tym, o czym nigdy nie mógłbym pisać, bo nie byłem już w stanie zaufać żadnemu człowiekowi na świecie.

I dlatego uznałem, że jedyne, co odkryją moi gospodarze, jeśli kiedykolwiek któreś z nich to przeczyta – a byłem niemal pewny, że będą próbować, choćby z ciekawości, jeśli nie z innych powodów – to pamiętnik, który zaczyna się na dniu, kiedy odmówiłem już ostatnią modlitwę.

Tak naprawdę być może nigdy jej nie wypowiedziałem. Byłem tak nieprzytomny z gorączki, głodu i wyczerpania, że pewnie tylko mi się to śniło – w każdym razie tamtego dnia spojrzałem w najpiękniejszą kobietą twarz, jaką widziałem w życiu.

Kiedy pisałem skrócony – ograniczający się do faktów – akapit o tym, jak ta piękna pani zabrała mnie do domu, jak szeptała mi czułe słowa i pozwoliła mi zasnąć pod dachem po raz pierwszy od Bóg jeden wie jak dawna, przypomniałem sobie, jaka była smutna, kiedy widziałem ją po raz ostatni. Znałem już wtedy jej imię: Izabela, zdrobniale Bel. Ona i asystent w pracowni rzeźbiarskiej Landowskiego, monsieur Brouilly (który kazał, żebym mówił na niego Laurent, choć jako niemowa w ogóle nie mogłem się do niego zwracać), szaleńczo się w sobie zakochali. I tego wieczoru, gdy robiła wrażenie tak smutnej, przyszła się pożegnać. Nie tylko ze mną, ale też z nim.

Byłem bardzo młody, ale zdążyłem już dużo przeczytać o miłości. Po odejściu taty spenetrowałem jego bibliotekę i dowiedziałem się niezwykłych rzeczy o dorosłych. Z początku wydawało mi się, że opisywany akt fizyczny to jakaś komedia, ale potem, kiedy to się powtarzało u autorów, o których wiedziałem na pewno, że nie są satyrykami, uświadomiłem sobie, że to musi być na serio. Ale o czymś takim zdecydowanie nie zamierzałem pisać w pamiętniku!

Wyrwał mi się lekki chichot. Zakryłem usta dłońmi. To było osobliwe doznanie, bo śmiech był swego rodzaju wyrazem szczęścia. Naturalną reakcją fizyczną.

– Boże! – szepnąłem.

Dziwnie było słyszeć własny głos, który wydawał się niższy niż wtedy, kiedy ostatnio wypowiedziałem jakieś słowo. Na szczęście nikt nie mógł usłyszeć mnie tu, na poddaszu. Obie służące były na dole; szorowały, polerowały i wiecznie robiły pranie, które wisało

potem na sznurach porozciąganych na tyłach domu. Nie wolno mi było tego robić, poddawać się radości, bo skoro byłem w stanie chichotać, to znaczyło, że mam głos i mogę mówić. Próbowiałem skupić się na rzeczach smutnych, co naprawdę było dla mnie nietypowe: przecież skoro udało mi się pomimo wszystkich przeszkód dotrzeć do Francji, to tylko dlatego, że uciekałem w świat wyobraźni i starałem się koncentrować na wesołych myślach. Przez cienką ścianę na poddaszu wieczorami docierały do mnie rozmowy dwóch służących z sąsiedniego pokoju. Narzekały na marną płacę, na to, że pracują do późna, że stare materace są nierówne, a w sypialni jest strasznie zimno... Uczylem się o klimacie Francji i choć Paryż, na którego krańcach, jak odkryłem, mieszkali Landowscy, leży na północy tego kraju, to robienie problemu z kilku stopni poniżej zera wydało mi się tak śmieszne, że o mało znów nie zachichotałem.

Skończyłem pierwszy akapit w swoim nowiutkim „oficjalnym” pamiętniku i przeczytałem to, udając, że jestem panem Landowskim z jego zabawną małą bródką i sumiastymi wąsiskami.

Mieszkam w Boulogne-Billancourt. Przygarnęli mnie dobrzy państwo Landowscy – monsieur Paul i madame Amélie. Ich dzieci to Nadine (lat 20), Jean-Max (lat 17), Marcel (lat 13) i Françoise (lat 11). Wszyscy są dla mnie bardzo mili. Mówią, że byłem bardzo chory i potrwa, zanim odzyskam siły. Elsa i Antoinette to służące. Kucharka ma na imię Berthe. Zawsze proponuje mi dokładki pysznych ciast. Mówi, że chce mnie utuczyć. Kiedy pierwszy raz nałożyła mi pełen talerz, nie zostawiłem ani okruszka i pięć minut później dostałem torsji. Wezwali do mnie lekarza; powiedział Berthe, że mój żołądek skurczył się z niedożywienia i powinna dawać mi mniejsze porcje, bo inaczej znów się pochoruję i umrę. Myślę, że to bardzo zmartwiło Berthe, ale teraz jem już prawie normalnie i naprawdę doceniam jej kuchnię. W domu pracuje jeszcze jedna osoba, której dotąd nie poznałem, ale o której wiele się mówi w rodzinie. To madame Evelyn Gelsen. Jest gosposią. Właśnie ma urlop; pojechała do syna, który mieszka w Lyonie.

Martwi mnie, że narażam tę miłą rodzinę na koszty. Tyle teraz jem. Poza tym musi przychodzić lekarz i mnie badać. Wiem, jakie drogie są takie wizyty. Nie mam pieniędzy ani

pracy i nie widzę sposobu, jak miałbym się im odplacić, czego na pewno będą oczekiwać, i słusznie. Nie jestem pewien, jak długo pozwolą mi tu zostać, ale staram się cieszyć każdym dniem spędzonym w ich pięknym domu. Dziękuję Bogu za ich dobroć i co wieczór się za nich modłę.

Gryząc koniec ołówka, z zadowoleniem pokiwałem głową. Uprościłem język i dodałem jakieś banalne błędy ortograficzne, żeby robić wrażenie zwyczajnego dziesięciolatka. Nie byłoby dobrze, gdyby zorientowali się, jakie otrzymałem kiedyś wykształcenie. Gdy tata odszedł, robiłem, co w mojej mocy, by – tak jak mi przykazał – kontynuować naukę, lecz bez niego jako przewodnika nie było to takie proste.

Wyciągnąłem piękną kartkę czystego białego papieru z szuflady starego biurka – to, że miałem miejsce do pisania, było dla mnie niewyobrażalnym luksusem – i zacząłem pisać list.

*Landowski Atelier
rue Moisson Desroches
Boulogne-Billancourt
7 sierpnia 1928 roku*

Droży monsieur i madame Landowscy

Chciałbym podziękować Państwu za podarunek. To najpiękniejszy zeszyt, jaki kiedykolwiek miałem, i codziennie będę w nim pisał pamiętnik, tak jak prosiliście.

Dziękuję też za to, że przyjęliście mnie pod swój dach.

Już miałem grzecznie dodać *Z wyrazami szacunku* oraz swoje imię i nazwisko, ale w porę się powstrzymałem. Złożyłem kartkę starannie we dwoje, jeszcze raz na pół i napisałem na wierzchu *Monsieur i madame Landowscy*. Położyłem ją na srebrnej tacce, na której jutro będzie pocztą.

Nawet jeśli nie dotarłem do miejsca, do którego zdążałem, byłem dość blisko. W porównaniu z dystansem, jaki już pokonałem, zostało mi tyle co spacer rue Moisson Desroches i z powrotem. Ale nie chciałem jeszcze odejść. Jak mówił kucharce doktor, musiałem odbudować siły, nie tylko fizyczne, ale też psychiczne. Nawet jeśli lekarz tego nie dostrzegał, mógłbym powiedzieć mu, że to nie

fizyczne wyniszczenie jest najgorsze, ale lęk, który nadal mnie dręczył. Obie służące, może dlatego, że znudziło je już narzekanie na wszystkich pozostałych w domu, skarżyły się, że w nocy krzyczę i je budzę. Podczas długiej podróży przywykłem do strachu, a poza tym byłem tak wyczerpany, że zasypiałem natychmiast, kiedy tylko się położyłem, tutaj jednak, wypoczęty w ciepłym łóżku, zrobiłem się słaby. Często nie potrafiłem zasnąć po tym, jak budziły mnie koszmarne sny. Nie byłbym nawet pewien, czy „sny” to właściwe określenie. Okrutny umysł kazał mi wielokrotnie przeżywać od nowa to, co mi się zdarzyło.

Wstałem i ruszyłem do łóżka. Z pamiętnikiem w ręce naciągnąłem na siebie prześcieradło i koc, które nie były mi potrzebne, bo panowała duchota, po czym wsunąłem zeszyt do spodni piżamy, przy wewnętrznej stronie uda. Potem zdjąłem skórzany woreczek zawieszony na szyi i schowałem go przy drugim udzie. Jeśli długa podróż czegoś mnie nauczyła, to tego, gdzie są najbezpieczniejsze kryjówki dla tak cennych rzeczy.

Położyłem się na materacu; choć Elsa i Antoinette narzekały na swoje, dla mnie był jak posłanie na chmurce z anielskich piór. Zamknąłem oczy, pomodliłem się szybko za tatę i mamę, która była w niebie, i próbowałem odpłynąć w sen.

I wtedy zaczęła dręczyć mnie pewna myśl. Choć za nic nie chciałem tego przyznać, poza chęcią wyrażenia wdzięczności był też i inny powód, dla którego napisałem list do Landowskich – wiedziałem, że muszę kontynuować podróż, lecz nie byłem jeszcze gotów zrezygnować z najcudowniejszego w świecie pocucia... pocucia bezpieczeństwa.

2

– I co o nim myślisz, młody człowieku? – zapytał mnie monsieur Landowski, gdy patrzyłem w oczy naszego Pana, a każde z nich było niemal tak duże jak ja.

Właśnie skończył dopracowywać głowę posagu, który w Brazylii nazywano Cristo Redentor, a ja Jezusem Chrystusem. Monsieur Laurent Brouilly powiedział mi, że posąg ma stanąć na górze w Rio de Janeiro. Kiedy złoży się wszystkie jego części, będzie miał trzydzieści metrów wysokości. Widziałem miniaturowe wersje rzeźby i wiedziałem, że brazylijski (i francuski) Chrystus będzie stał z otwartymi ramionami, jakby chciał przygarnąć do serca leżące w dole miasto. Ciekawe, że z daleka można było wziąć ten posąg za krzyż. To, jak przetransportować pomnik na górę i go złożyć, było przedmiotem ożywionych dyskusji i zmartwień przez ostatnich kilka tygodni. Monsieur Landowski miał zresztą problem nie tylko z jedną głową, bo jednocześnie pracował nad rzeźbą przedstawiającą Sun Jat-sena i wciąż nie był usatysfakcjonowany oczami Chińczyka. Był perfekcjonistą.

Podczas długich gorących dni ciągnęło mnie do pracowni monsieur Landowskiego. Zakradałem się tam i chowałem za kamieniami stojącymi na ziemi, czekającymi, by ukształtować je w formy. W warsztacie zwykle kręcili się praktykanci i asystenci, którzy – jak Laurent – mieli się tu uczyć od wielkiego mistrza. Większość z nich mnie ignorowała, ale mademoiselle Margarida zawsze posyłała mi uśmiech, kiedy przychodziła rano. Była przyjaciółką Bel, wiedziałem więc, że należy do grona tych, którym można ufać.

Pewnego dnia monsieur Landowski wytropił mnie w pracowni i całkiem jak mój ojciec zganił mnie, że nie poprosiłem o pozwolenie, zanim tam wszedłem. Pokręciłem głową i wyciągnąłem przed siebie ręce, cofając się do drzwi. Wtedy dobry monsieur złagodniał i skinął, żebym podszedł.

– Brouilly mówił mi, że lubisz patrzeć, jak pracujemy. To prawda?

Skinąłem głową.

– No to nie masz powodu się ukrywać. Jeśli tylko obiecasz nie nie dotykać, jesteś tu mile widziany, chłopcze. Szkoda, że moje dzieci nie wykazują takiego zainteresowania tym, czym się zajmuję.

Od tej pory wolno mi było siedzieć przy roboczym blacie na kozłach. Dostawałem kawałek niepotrzebnego steatytu i narzędzia, których mogłem używać.

– Patrz i ucz się, chłopcze, patrz i ucz się – radził Landowski.

Tak robiłem. Nie wpływało to jednak na efekty moich prób. Waliłem młotkiem w dłuto przytknięte do kamienia i bez względu na to, jak bardzo starałem się go jakoś ukształtować – choćby w najprostszej formie – zawsze kończyłem z kupą gruzu przed sobą.

– I co, jak myślisz? – zapytał monsieur Landowski, wskazując na głowę Cristo.

Pokiwałem energicznie głową, jak zwykle czując wyrzuty sumienia, że ten dobry człowiek, który mnie przygarnął, nadal bezskutecznie próbuje wydobyć ode mnie jakąś słowną reakcję. Zasługiwał na nią, choćby ze względu na wytrwałość, ale wiedziałem, że jeśli tylko otworzę usta i zacznę mówić, znajdę się w niebezpieczeństwie.

Madame Landowski dała mi stertę papierów.

– Gdybym zadała ci pytanie, mógłbyś napisać odpowiedź?

Skinąłem głową. Od tamtej pory nasze komunikowanie się zrobiło się bardzo proste.

W odpowiedzi na pytanie monsieur Landowskiego wyjąłem ołówek z kieszeni spodnek, napisałem słowo, które zajęło prawie całą stronę, i podałem mu kartkę.

Zachichotał, kiedy je przeczytał.

– *Magnifique*? No, dziękuję, młody człowieku. Miejmy tylko nadzieję, że podobnie zareagują na Cristo inni, kiedy stanie dumnie na górze Corcovado po drugiej stronie świata... jeśli kiedykolwiek uda się nam go tam dotransportować.

– Proszę nie tracić wiary, mistrzu – odezwał się zza moich pleców Laurent. – Bel mówiła mi, że trwają już przygotowania do wykorzystania kolejki linowo-szynowej.

– Naprawdę? – Landowski uniósł jedną krzaczastą siwą brew. – Zdaje się, że wiesz więcej ode mnie. Heitor da Silva Costa powtarza, że podyskutujemy o transporcie rzeźby i ustawieniu jej, ale jakoś stale nie dochodzi do rozmów. Jest już pora na obiad? Napiłbym się trochę wina, żeby uspokoić nerwy. Zaczynam myśleć, że Cristo może być końcem mojej kariery. Byłem głupi, że w ogóle zgodziłem się na to szaleństwo.

– Przyniosę coś do jedzenia – powiedział Laurent i ruszył do małej kuchenki, której każdy szczegół będę zawsze pamiętał jako moje pierwsze bezpieczne schronienie od czasu, kiedy wiele miesięcy wcześniej opuściłem dom. Uśmiechnąłem się, obserwując, jak Laurent otwiera butelkę wina. Często, gdy budziłem się wcześnie, zakradałem się do pracowni o świcie, żeby być pośród tego całego piękna. Siedziałem tu i myślałem, jak by się uśmieł tata, jeśliby wiedział, że ze wszystkich miejsc, w które mogłem trafić, jak choćby fabryka Renault leżąca zaledwie kilka kilometrów dalej, wylądowałem w czymś, co nazwałby świątynią sztuki. Czułem, że byłby zadowolony.

Tego ranka, kiedy siedziałem między kamieniami i patrzyłem na łagodne oblicze Cristo, usłyszałem coś w pomieszczeniu za zasłonką, gdzie jadalśmy. Podeszedłem na palcach i zajrzałem. Zobaczyłem dwie stopy wystające spod stołu. Okazało się, że ten dziwny dźwięk to delikatne pochrapywanie Laurenta. Odkąd Bel wyjechała do Brazylii, zauważyłem, że często rano wyglądał marnie, bo w nocy dużo pił. Miał czerwone, podpuchnięte oczy, bladą, szarą cerę, jakby w każdej chwili mógł zacząć wymiotować (a w tej dziedzinie miałem bardzo duże doświadczenie i naprawdę potrafiłem poznać, kiedy mężczyzna czy kobieta przesadzili z alkoholem).

Kiedy patrzyłem, jak nalewa sobie spory kieliszek, martwiłem się o jego wątrobę, która, jak mówił tata, najbardziej cierpi przez picie. Nie tylko wątroba Laurenta mnie jednak niepokoiła, ale też jego serce. Wiedziałem wprawdzie, że to niemożliwe, by ten narząd mógł ucierpieć fizycznie przez miłość, ale coś w tym mężczyźnie pękło. Może pewnego dnia zrozumie potrzebę łagodzenia rozpaczy alkoholem.

– *Santé!* – powiedzieli obaj mężczyźni, stukając się kieliszkami.

Kiedy Laurent i monsieur Landowski siedzieli przy stole, starałem się być przydatny w kuchni; układałem pieczywo, ser i kroilem dorodne czerwone pomidory, które uprawiała w ogrodzie pewna pani mieszkająca kawałek dalej.

Wiedziałem o tym, bo obserwowałem Evelyn, gospozię, kiedy pojawiła się w kuchni z ciężką skrzynką pełną warzyw. Była dość otyłą i nie najmłodszą kobietą, podskoczyłem więc do niej, by wziąć od niej skrzynkę i odstawić na bok.

– O rety, ale dziś gorąco – jęknęła.

Zasapana, opadła ciężko na drewniane krzesło. Nalałem jej szklankę wody, zanim zdążyła poprosić. Wyjąłem kawałek papieru i ołówek z kieszeni i napisałem pytanie.

– Dlaczego nie posłałam po to służących? – Spojrzała na mnie. – Bo, chłopczyku, żadna z nich dwóch nie odróżni zgniłej brzoskwini od dobrej. To miastowe dziewuchy, nie mają pojęcia o świeżych owocach i warzywach.

Wziąłem od niej kartkę i dopisałem kolejne zdanie.

Następnym razem pójdę z panią, żeby nieść skrzynkę.

– To bardzo miło z twojej strony, młody człowieku, i jeśli ta pogoda się utrzyma, może i skorzystam z twojej propozycji.

Pogoda się utrzymała i chodziłem z Evelyn. Po drodze opowiadała mi o swoim synu; mówiła z dumą, że studiuje na uniwersytecie i zostanie inżynierem.

– Pewnego dnia będzie kimś, zobaczysz – dodała, kiedy przechodziliśmy między straganami, na których wystawiono warzywa. Ja trzymałem skrzynkę na te, które zyskały jej aprobatę. Ze wszystkich osób w gospodarstwie Landowskich najbardziej polubiłem Evelyn, choć tak bałem się jej powrotu, bo słyszałem gadanie służących zza ściany, które biadały, co to będzie, jak wróci „smoczyca”. Zostałem jej przedstawiony jako „chłopiec bez imienia, który nie umie mówić”. (To Marcel, trzynastoletni syn Landowskich, tak powiedział. Wiedziałem, że traktuje mnie podejrzliwie, co doskonale rozumiałem – moje nagłe pojawienie się w ich rodzinie musiało go zaniepokoić). Evelyn po prostu uściśnęła moją wyciągniętą dłoń i uśmiechnęła się serdecznie.

– Im nas więcej, tym weselej, jak zawsze mówię. Na co komu wspaniały wielki dom jak ten, jeśli są w nim puste pokoje?

Potem mrugnęła do mnie i jeszcze tego samego dnia, kiedy

zobaczyła, jak po obiedzie popatruję na resztkę tarty z jabłkami, ukroiła mi kawałek.

To było dziwne, naprawdę, że pani w średnim wieku i ja bez słów (przynajmniej z mojej strony) nawiązaliśmy coś w rodzaju cichego porozumienia, ale wiedziałem, że tak było. Dostrzegłem w jej oczach coś znajomego, coś, co mówiło mi, że cierpi. Może i ona zobaczyła u mnie coś podobnego.

Uznałem, że jedynym sposobem na to, by domownicy nie mogli na mnie narzekać, jest albo stanie się niewidzialnym (dla dzieci i – w nieco mniejszym stopniu – dla monsieur i madame Landowskich), albo zawsze dostępnym dla tych, którym mogłem się na coś przydać, czyli przede wszystkim dla członków służby. Evelyn, Berthe, Elsa i Antoinette chyba zdawały sobie sprawę, że zyskały małego pomocnika, który był zawsze pod ręką, kiedy tego potrzebowały. W domu często to ja sprzątałem małą przestrzeń, gdzie mieszkaliśmy ja i służba. Już jako bardzo mały chłopiec dbałem, żeby wszystko było na swoim miejscu. Tata zauważył, że lubię porządek, i żartował, że kiedyś będę dla kogoś bardzo dobrą żoną. W moim rodzinnym domu zachowanie ładu było niemożliwe, bo wszystko działo się w jednej izbie, a w domu Landowskich zachwycała mnie idealna organizacja. Jednym z moich ulubionych zajęć było pomaganie Elsie i Antoinette w zdejmowaniu ze sznura wysuszonych na słońcu i wietrze prześcieradeł i ubrań. Obie śmiały się z tego, że tak pilnuję, by złożyć dokładnie każdy róg do rogu. Nie potrafiłem odmówić sobie przyjemności przytykania nosa do każdej sztuki zdejmowanego prania. Wdychałem ich świeży zapach, który był dla mnie niczym najpiękniejsze perfumy.

Teraz, kiedy pokroiłem pomidory równie precyzyjnie, jak składałem pranie, przysiadłem się do monsieur Landowskiego i Laurenta. Patrzyłem, jak odłamują kawałki bagietki i ucinają plastry sera, ale dopiero kiedy monsieur Landowski skinął, żebym zrobił to samo, przyłączyłem się do uczty. Tata zawsze mówił mi, jak cudownie smakuje francuskie jedzenie, i miał rację. Jednak po moich atakach choroby, kiedy błyskawicznie pożerałem wszystko, co tylko mi dali, jakby to miał być ostatni posiłek, jaki w życiu dostanę, zacząłem jeść jak dżentelmen, na jakiego byłem wychowywany, a nie dzikus, jak kiedyś nazwała mnie Berthe, sądząc, że nie słyszę.

Rozmowa toczyła się nadal wokół Cristo i oczu Sun Jat-sena, ale nie przeszkadzało mi to. Wiedziałem, że monsieur Landowski

jest prawdziwym artystą – latem zdobył złoty medal na Olimpijskim Konkursie Sztuki i Literatury w Amsterdamie i podobno był znany na całym świecie. Najbardziej podziwiałem w nim to, że sława go nie zepsuła, w każdym razie tak mi się wydawało. Pracował, kiedy tylko mógł, i wielokrotnie rezygnował z kolacji, za co łajała go żona, która uważała, że dzieci i ona powinny częściej go widywać. Jego dbałość o każdy szczegół i dążenie do doskonałości, kiedy mógł zlecić komuś dokończenie pracy, wydawały mi się bardzo inspirujące. Obiecałem sobie, że cokolwiek miałem w życiu robić, zawsze będę dawał z siebie wszystko.

– I co ty na to, chłopcze? Chłopcze?

Znów zostałem wyrwany z rozmyślań. To była przestrzeń, w której tak bardzo przywykłem przebywać, że trudno mi było przyzwyczaić się do tego, że ktoś może okazywać mi zainteresowanie.

– Nie słuchałeś, co?

Popatrzyłem na niego ze skruszonym wyrazem twarzy i pokręciłem głową.

– Pytałem, czy myślisz, że oczy Sun Jat-sena są już w porządku. Pokazywałem ci jego zdjęcie, pamiętasz?

Wziąłem ołówek, ale przemyślałem starannie odpowiedź, nim ją napisałem. Zawsze uczono mnie, żeby mówić prawdę, musiałem jednak robić to dyplomatycznie. Napisałem jedno słowo i podałem mu notes.

Prawie.

Patrzyłem, jak Landowski bierze łyk wina, a potem odrzuca głowę do tyłu i wybucha śmiechem.

– Trafiłeś w sedno, racja. W takim razie dziś po południu zrobię kolejne podejście.

Kiedy dwaj mężczyźni skończyli posiłek, uprzątnąłem ze stołu. Potem zaparzyłem im kawę, tak jak lubił monsieur Landowski. Robiąc to, utykałem resztki chleba i sera po kieszeniach spodnek. To był kolejny nawyk, z którym powinienem zerwać – ale nigdy nie wiadomo, kiedy człowiekowi może zabraknąć jedzenia. Po podaniu kawy skinałem głową i wróciłem na poddasze. Schowałem chleb i ser do szuflady biurka. Najczęściej resztki jedzenia, które tam trafiały, następnego dnia rano wyrzucałem ukradkiem do kubła za domem. Ale, jak powiedziałem – nigdy nie wiadomo.

Po umyciu rąk i przeczesaniu włosów zszedłem na dół, by zobaczyć, czy mogę się do czegoś przydać. Tego dnia trafiło mi się

polerowanie sreber, za co z powodu mojej precyzji i cierpliwości zyskałem sobie nawet pochwałę ze strony Evelyn. Pękałem z dumy, jak ktoś, komu od bardzo dawna nikt nie prawił komplementów. Radość nie trwała jednak długo, bo gospoia przystanęła w drzwiach i obróciła się do Elsy i Antoinette, które umieszczały z powrotem sztućce w wyłożonych aksamitem pudełkach.

– Mogłybyście obie uczyć się, jak się to robi, od tego młodego człowieka – powiedziała i wyszła, zostawiając mnie z Elsą i Antoinette.

Sporunowały mnie wzrokiem, ale że obie były leniwe i niecierpliwe, chętnie zlecały mi polerowanie. Uwielbiałem siedzieć spokojnie w dużej jadalni przy mahoniowym stole, który zawsze błyszczał jak lustro, mieć zajęte ręce, a głowę wolną, by bujać myślami, gdzie tylko zechcę.

Najbardziej skupiałem się teraz – niemal każdego dnia, od kiedy wracałem do formy fizycznej i umysłowej – na tym, jak mógłbym zarabiać. Mimo dobroci Landowskich doskwierało mi to, że jestem zdany na ich łaskę. Nawet tego wieczoru mogli powiedzieć mi, że z jakiegoś powodu mój czas u nich dobiegł końca. Znów znalazłbym się na ulicy, w obcym kraju, bezbronny i osamotniony. Odruchowo sięgnąłem do skórzanego woreczka, który nosiłem pod koszulą. Sam dotyk znajomego kształtu dodawał mi otuchy, nawet jeśli wiedziałem, że to, co jest w sakiewce, nie należy do mnie i nie wolno mi tego sprzedać. Samo to, że udało mi się nie stracić tego podczas podróży, wydawało się cudem, lecz przedmiot ten był dla mnie błogosławieństwem i przekleństwem zarazem. To przez niego znalazłem się w Paryżu i mieszkalem pod dachem obcych ludzi.

Kiedy skończyłem polerowanie srebrnego czajniczka, doszedłem do wniosku, że w tym domu jest tylko jedna osoba, której ufałem na tyle, by się poradzić. Evelyn mieszkała w czymś, co Landowscy nazywali „domkiem”, ale była to tylko dwupokojowa przybudówka przy głównej rezydencji. Jak kiedyś powiedziała mi Evelyn, przynajmniej miała własną łazienkę i – co najważniejsze – osobne wejście. Nie widziałem, jak tam jest w środku, ale tego wieczoru po kolacji postanowiłem zebrać się na odwagę i zapukać do drzwi „domku”.

*

Patrzyłem przez okno jadalni, jak Evelyn idzie do siebie

– zawsze wychodziła, kiedy podano już główne danie. Podanie deseru i zmywanie pozostawiała dwóm służącym. Jadłem kolację i słuchałem rozmów rodziny. Nadine, starsza córka Landowskich, nie była jeszcze zamężna i spędzała wiele czasu, wędrując po okolicy ze sztalugami, pędzlami i paletą. Nie widziałem żadnego jej obrazu, ale słyszałem, że projektuje też scenografie teatralne. Nigdy nie oglądałem sztuki wystawionej w teatrze, ale nie mogłem tak po prostu spytać Nadine o jej pracę. Rzadko siedziała w domu i najwyraźniej była bardzo zajęta swoimi sprawami, nie zwracała więc na mnie specjalnej uwagi, choć uśmiechała się do mnie, jeśli wpadaliśmy na siebie rano. Z Marcelem było inaczej. Pewnego dnia zastąpił mi drogę, wyprężył pierś, podpierając się pod boki, i oświadczył, że mnie nie lubi. Co oczywiście było głupie, bo mnie nie znał, ale słyszałem, jak przy młodszej siostrze, Françoise, nazwał mnie lizusem, bo pomagałem w kuchni przed kolacją. Rozumiałem, co czuł. Jego rodzice przyjęli pod dach znalezionej w ogrodzie obdartusa, który nie chciał mówić. Każdy zrobiłby się podejrzliwy.

Wybaczyłem mu jednak wszystko, kiedy pierwszy raz dobiegła mnie cudowna muzyka z pokoju na parterze. Przerwałem to, co właśnie robiłem w kuchni, i stanąłem jak zaczarowany. Choć tata grał mi na skrzypcach, co tylko potrafił, tak naprawdę nigdy nie słyszałem dźwięków, jakie może wydać fortepian, jeśli gra na nim ktoś, kto to potrafi. I to było fantastyczne. Od tamtej pory miałem lekką obsesję na punkcie palców Marcela; zastanawiałem się, jak to jest, że potrafią tak szybko, z taką precyzją przebiegać po klawiaturze. Musiałem zmuszać się, by odwracać wzrok. Zamierzałem pewnego dnia zdobyć się na odwagę i spytać, czy mógłbym popatrzeć, jak gra. Bez względu na to, jak się wobec mnie zachowywał, uważałem go za czarodzieja.

Jego starszy brat, Jean-Max, traktował mnie z całkowitą obojętnością. Był już prawie dorosły. Niewiele wiedziałem o tym, co robi poza domem, ale pewnego razu próbował pokazać mi, jak się gra w bule – to narodowa rozrywka Francuzów. Polega na rzucaniu kul na wysypanym żwirem podwórku i nauczyłem się jej dość łatwo.

No i była jeszcze Françoise, najmłodsza córka Landowskich, niewiele starsza ode mnie. Kiedy się tu pojawiłem, traktowała mnie przyjaźnie, choć była bardzo nieśmiała. Ucieszyłem się ogromnie, kiedy bez słowa dała mi coś słodkiego w ogrodzie – cukierek na patyku. Siedzieliśmy obok siebie, liżąc każde swój smakołyk i

obserwując pszczoły zbierające nektar. Françoise uczyła się gry na fortepianie jak Marcel i lubiła malować jak Nadine. Często widywałem ją siedzącą przy sztalugach koło domu. Nie miałem pojęcia, czy ma talent, czy nie, bo nigdy nie zobaczyłem nic, co namalowała, ale przypuszczałem, że uroczy sielankowy pejzaż przedstawiający pole i rzekę, który wisiał w holu na dole, wyszedł spod jej pędzla. Oczywiście nie było nam dane zostać przyjaciółmi – spędzanie czasu z kimś, z kim nie można porozmawiać, musi być dość nudne – ale często uśmiechała się i patrzyła na mnie ze współczuciem. Zdarzało się – zwykle w niedziele, kiedy monsieur Landowski nie pracował – że rodzina grywała w bule albo wybierała się na piknik. Zawsze proponowano mi, żebym się przyłączył, ale odmawiałem. Wolałem uszanować ich czas spędzany w gronie najbliższych, poza tym przekonałem się boleśnie, do czego mogą prowadzić urazy.

Po kolacji pomogłem Elsie i Antoinette przy naczyniach, a kiedy poszły na górę się położyć, wymknąłem się z kuchni i pobiegłem na tyły domu, żeby nikt nie zauważył, że wyszedłem.

Stałem przed drzwiami Evelyn z bijącym sercem. Czy to błąd? Może powinienem wrócić tą samą drogą, którą tu przyszedłem, i zapomnieć o sprawie?

– Nie – szepnąłem cicho.

Wcześniej czy później musiałem komuś zaufać, a intuicja, która utrzymała mnie przy życiu tak długo, mówiła mi, że podjąłem słuszną decyzję.

Ręka mi się trzęsła, kiedy sięgnąłem do drzwi i zapukałem nieśmiało. Nie było żadnej reakcji – co zrozumiałe, bo tylko ktoś stojący tuż za nimi mógłby mnie usłyszeć. Zapukałem więc mocniej. Po kilku sekundach zobaczyłem, jak za oknem odchyła się zasłona, a potem drzwi się otworzyły.

– No, no, kogo my tu mamy? – powiedziała Evelyn i uśmiechnęła się do mnie. – Wchodź, śmiało. Do moich drzwi rzadko pukają goście. – Zaśmiała się.

Znalazłem się chyba w najbardziej przytulnym pokoju, jaki dotąd widziałem. Choć mówiono mi, że dawniej mieścił się tu garaż monsieur Landowskiego, i choć był to tylko cementowy klocek, gdziekolwiek spojrzałem, widziałem coś pięknego. Dwa tapicerowane fotele stały zwrócone do środka pokoju, a na nich udrapowano jaskrawe narzuty. Na ścianach wisiały portrety

rodzinne i martwe natury, a na czystym mahoniowym stole przy oknie pysznił się bukiet kwiatów. Małe drzwi, jak przypuszczałem, musiały prowadzić do sypialni i toalety, a na półce nad kredensem pełnym porcelany i szkła leżała sterta książek.

– Siadaj, proszę. – Evelyn wskazała mi jeden z foteli i podniosła ze swojego coś, co wyszywała. – Mogę zaproponować ci lemoniadę? Według mojego przepisu.

Skwapliwie pokiwałem głową. Przed przybyciem do Francji nie znałem smaku lemoniady i teraz nigdy nie miałem jej dosyć. Obserwowałem, jak Evelyn podchodzi do kredensu i wyjmuje dwie szklanki. Nalała bladożółtego płynu z dzbanka pełnego lodu.

– Proszę – powiedziała i usiadła. Jej pulchna postać wypełniała idealnie fotel. Uniosła szklankę. – *Santé!*

Ja też podniosłem swoją, ale jak zwykle nic nie powiedziałem.

– Co mogę dla ciebie zrobić? – spytała Evelyn.

Miałem już napisane pytanie. Wyciągnąłem kartkę z kieszeni i jej podałem.

Przeczytała, a potem popatrzyła na mnie.

– Jak mógłbyś zarobić pieniądze? O to przyszedłeś mnie spytać?

Skinąłem głową.

– No, młody człowieku, nie jestem pewna, czy potrafię ci coś poradzić. Musiałabym o tym pomyśleć. Ale dlaczego sądzisz, że potrzebujesz pieniędzy?

Pokazałem gestem, że powinna obrócić kartkę.

– *Na wypadek gdyby Państwo Landowsky uznali, że nie mają już dla mnie miejsca* – przeczytała na głos. – Biorąc pod uwagę sukcesy pana i liczbę zamówień, jakie dostaje, to bardzo mało prawdopodobne, żeby musieli przeprowadzić się do mniejszego domu. Ale chyba rozumiem, co masz na myśli. Boisz się, że pewnego dnia mogliby po prostu dojść do wniosku, że powinienes się wynieść, tak?

Pokiwałem energicznie głową.

– I stałbyś się jeszcze jedną głodującą sierotą na ulicach Paryża. Co prowadzi do bardzo ważnego pytania: jesteś sierotą? Wystarczy mi „tak” lub „nie”.

Pokręciłem głową równie zdecydowanie, jak przed chwilą nią kiwałem.

– A gdzie są twoi rodzice?

Oddała mi papier i napisałem:

Nie wiem.

– No tak. Myślałam, że mogli zginąć podczas Wielkiej Wojny, ale skończyła się w tysiąc dziewięćset osiemnastym roku, więc pewnie jesteś za młody, żeby to był ten przypadek.

Wzruszyłem ramionami, starając się nie zmieniać wyrazu twarzy. Problem z dobrymi ludźmi jest taki, że człowiek traci przy nich czujność, a wiedziałem, że za wszelką cenę muszę ją zachować. Widziałem, jak Evelyn przygląda mi się w milczeniu.

– Wiem, że potrafisz mówić, jeśli chcesz, młody człowieku. Brazylijka, która tu była, mówiła nam, że powiedziałaś do niej „dziękuję” idealnym francuskim w tę noc, kiedy cię znalazła. Dlaczego więc się nie odzywasz? Jedyne wyjaśnienie, jakie przychodzi mi do głowy... chyba że od tamtej pory stałeś się niemową, w co bardzo wątpię... jest takie, że za bardzo boisz się, by komukolwiek zaufać. Mam rację?

Naprawdę byłem w rozterce... Chciałem powiedzieć: „Tak, ma pani absolutną rację”, wtulić się w nią i opowiedzieć jej całą swoją historię, ale wiedziałem, że mimo wszystko nadal... nadal nie mogę. Pokazałem na migi, że potrzebowałbym więcej papieru, napisałem kilka słów i znów podałem Evelyn.

Miałem gorączkę. Nie pamiętam, żebym mówił do Bel.

Przeczytała, po czym uśmiechnęła się.

– Rozumiem, młody człowieku. Wiem, że kłamiesz, ale domyślałam się, że spotkało cię coś tak strasznego, że nie potrafisz nikomu zaufać. Może pewnego dnia, kiedy będziemy się znali nieco dłużej, opowiem ci trochę o swoim życiu. Byłam pielęgniarką na froncie podczas wojny. Widziałam tyle cierpienia... nigdy tego nie zapomnę. I szczerze mówiąc, na jakiś czas straciłam wiarę... w człowieka, a nawet w Boga. Wierzysz w Boga?

Skinąłem głową, odrobinę mniej zdecydowanie. Dlatego, że nie wiedziałem, czy nadal jest religijna po załamaniu wiary, ale też dlatego, że nie miałem pewności co do własnej wiary.

– Myślę, że może jesteś teraz w tym samym punkcie co ja wtedy – ciągnęła Evelyn. – Sporo czasu minęło, nim znów komukolwiek zaufałam. Wiesz, co sprawiło, że odzyskałam wiarę? Miłość. Miłość do mojego ukochanego syna. Wszystko wróciło na swoje miejsce. Miłość pochodzi od Boga... czy jakkolwiek nazwiesz tę siłę wyższą... który łączy nas, ludzi, w powiązaną z Nim niewidzialną

sieć. Nawet jeśli czasami wydaje się nam, że nas opuścił, nigdy nas nie opuszcza. A wracając do twojego pytania... Obawiam się, że nie potrafię na nie odpowiedzieć. Na ulicach Paryża jest wielu takich chłopców jak ty, radzących sobie na różne sposoby, o których wolę nie myśleć. Ale... mój Boże, tak bym chciała, żebyś zaufał mi choć na tyle, by zdradzić swoje imię. Ręczę ci, że monsieur i madame Landowscy to dobrzy mili ludzie i nigdy nie wyrzuciliby cię, ot tak, z domu.

Pokazałem, że potrzebuję kartki, i kiedy mi ją oddała, napisałem:
To co oni ze mną zrobią?

– Gdybyś mówił, pozwoliliby ci mieszkać u siebie już zawsze i posłaliby cię do szkoły jak swoje dzieci. Ale w tej sytuacji... – Wzruszyła ramionami. – To niemożliwe, prawda? Wątpię, by jakkolwiek szkoła przyjęła chłopca niemowę, bez względu na to, jaki poziom edukacji osiągnął wcześniej. Bo z tego, co o tobie wiem, wynika, że jesteś wykształcony i chciałbyś się dalej uczyć. Mam rację?

Zdobyłem się na coś w rodzaju francuskiego wzruszenia ramion, w którym wszyscy mieszkańcy tego domu byli świetni.

– Jedno, czego nie lubię, to kłamstwa, młody człowieku – zganiła mnie niespodziewanie Evelyn. – Wiem, że masz swoje powody, żeby zachowywać milczenie, ale przynajmniej bądź uczciwy. Chcesz kontynuować edukację czy nie?

Niechętnie skinąłem głową.

Evelyn klepnęła się po udzie.

– No to mamy to! Musisz się zdecydować, czy jesteś gotów zacząć mówić, bo jeśli to zrobisz, twoja przyszłość w domu Landowskich stanie się o wiele pewniejsza. Byłbyś normalnym dzieckiem, które może pójść do normalnej szkoły, i wiem, że traktowałiby cię dalej jak członka rodziny. A teraz... – Ziewnęła. – Jutro wcześniej zaczynam, ale miło mi było spędzić ten wieczór w twoim towarzystwie. Pukaj do moich drzwi, kiedy tylko zechcesz.

Od razu wstałem, kiwając głową w podziękę, i ruszyłem do wyjścia. Evelyn podniosła się z fotela, żeby mnie odprowadzić. Kiedy już miałem nacisnąć klamkę, poczułem na ramionach delikatne dłonie; obróciły mnie, po czym Evelyn objęła mnie i przytuliła.

– Odrobina miłości, tylko tego ci trzeba, *chéri*. A teraz dobranoc.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).